

*Tadeusz Cegielski**

**Konkwistadorzy, misjonarze, kosmopolici.
Europejczycy doby nowożytnej
wobec „reszty świata”¹**

Zachwyty i żądza. Eldorado

Pod datą 1522 r., w liście do króla Hiszpanii i cesarza rzymsko-niemieckiego Karola V, Hernán Cortés (1485-1547), hiszpański szlachcic dowodzący wyprawą do Meksyku, odnotował: *„Miasto (Tlaxcala) jest tak duże i wspaniałe, że choć wiele z tego, o czym mógłbym opowiedzieć, pomijam, mam wrażenie, że nawet to, co powiem, będzie prawie nie do uwierzenia. Jest ono dużo większe od Grenady i bardziej potężne, ma równie wspaniałe budowle, a mieszkańców o wiele więcej niż miała Grenada przed jej zdobyciem (...) W mieście tym znajduje się jeden duży rynek (nie licząc wielu małych targowisk), gdzie każdego dnia kupuje coś lub sprzedaje ponad trzydzieści tys. ludzi. Są tu zarówno żywność, jak odzież i obuwie, a nadto klejnoty ze złota, srebro i drogich kamieni oraz kosztowne ozdoby z piór. (...) Są tu również domy, jakby balwiernie, gdzie myje się i goli głowy. Są też łaźnie (...)”*.

W innym miejscu Cortés dodaje, że władca Meksyku, Montezuma II posiada *„nową siedzibę, jeszcze nie ukończoną, nie gorszą od najlepszych pałaców w Hiszpanii, jeśli chodzi o jakość wykonania robót murarskich i stolarskich, a także posadzek oraz pomieszczeń służbowych i gospodarczych”*. Nie tylko świątynie i pałace władców budziły swoim rozmachem i precyzją wykonania podziw zdobywcy. Odnotowuje on, że miasta azteckie posiadały infrastrukturę na najwyższym poziomie:

* Prof. dr hab. **Tadeusz Cegielski** – Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego.

¹ Tekst wykładu inauguracyjnego rok akademicki w Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego, wygłoszony 29 września 2005 r.

miasto Tenochtitlan, na przykład, zaopatrywane było w bieżącą wodę poprzez sieć akweduktów. Indianie umieli w ogóle – zdaniem autora – dobrze sobie radzić z robotami inżynieryjnymi.

Zważywszy fakt szerokiej publikacji listów Cortéza, nie tylko król Hiszpanii, lecz w ślad za nim także cała Europa mogła dowiedzieć się, że państwo zdobyte przez Cortéza swym rozmiarem i ludnością, zarówno „z tego, co udało się ustalić, jak i z tego, co wywnioskowano z rozmów z Montezumą” było tak duże jak Hiszpania. Władcy azteccy stworzyli doskonale funkcjonujący system przepływu informacji: od licznych prowincji, podporządkowanych niedługo przed przybyciem Hiszpanów, do centrum w Tenochtitlan. Stąd każdy krok Cortéza i jego ludzi, od dnia, w którym postawili stopę w Meksyku, znany był w stolicy. Konkwistador miał w niedługim czasie zapoznać się z tym fenomenem; wszakże szczęśliwy dlań los sprawił, że wiadomość o przybyciu białych wojowników, rzekomo wysłanników boga Quetzcoatl, na wiele tygodni sparaliżowała działania Indian.

Cortéz konsekwentnie nazywa i opisuje władztwo Montezumy jako imperium, przy czym – zdaniem historyków – akurat ta nazwa wydaje się uzasadniona w przypadku luźnej struktury plemion i prowincji podporządkowanych przez Azteków. Przywodziła ona na myśl imperium Aleksandra Wielkiego lub średniowieczne władztwa Arabów, Mongołów czy Osmanów: *„Jednym słowem, istnieje wśród tych ludzi każdy rodzaj publicznego porządku i dobrego ułożenia, gdyż są oni rozumni i dobrze zorganizowani. Nawet to, co najlepsze w Afryce, nie może się z nimi równać. Zważywszy, że ludzie ci są barbarzyńcami, tak bardzo oddalonymi od wiedzy o Bogu i od kontaktów z innymi rozumnymi narodami, jest rzeczą zdumiewającą, jaki poziom mają we wszystkim”*.

Ostatnia z przytoczonych opinii Cortéza stanowi syntezę wszystkich jego relacji o Indianach i jako taka zasługuje na szczególną uwagę. Po pierwsze, zdobywca Meksyku wykazał się znaczną znajomością geograficznych i kulturowych realiów. Porównał on indiańską stolicę nie tylko z dobrze znanymi sobie Madrytem i Kadyksem, lecz właśnie ze zdobytą na Arabach Grenadą, która swoimi skarbami po stokroć przyćmiewała stolice hiszpańskie. Dodał przy tym, że w całej muzułmańskiej Afryce nie ma cywilizacji równej tej, którą zastał w Meksyku. Po drugie, Cortéz zauważył, iż cywilizacja Indian rozwijała się w separacji od innych, na przykład europejskiej czy afrykańskiej – a mimo to osiągnęła wysoki poziom. Tak więc pogromca meksykańskich Indian doskonale rozumiał wagę zjawiska, które określamy dziś jako stosunki międzykulturowe: osiągnięcia ludzkie powstają głównie

w toku wymiany z innymi kręgami kulturowymi. Trzecia z zasygnalizowanych kwestii dotyczy pogaństwa czy – posługując się określeniem samego Cortéza – „barbarzyństwa” Indian. Jak to jest możliwe, aby wszystkie te osiągnięcia miały miejsce w tak wielkim oddaleniu od „wiedzy o Bogu”?

Pozwoliłem sobie zaprezentować poglądy zdobywcy Meksyku, człowieka, który wraz ze swym rodakiem, Franciskiem Pizarro (1471-1541) zapisał się w pamięci potomnych jako zuchwały do szaleństwa zdobywca wielkiego państwa Ameryki przedkolumbijskiej. Pamiętamy go również jako człowieka, który zapoczątkował nie mającą precedensu eksterminację społeczeństw Meksyku – tak jak Pizarro uczynił to w stosunku do Indian andyjskich. Jak więc pogodzić te dwie sfery faktów, dwie wykluczające się – zdawałoby się – role konkwistadorów?

Paradoksów i zagadek będzie przecież znacznie więcej. Nasuwa się kolejne pytanie: skoro władztwa Indian były tak potężne i wspaniale zorganizowane – jak pisali Cortéz, Pizarro i dziesiątki innych – to dlaczego tak łatwo przyszło im ich zdobycie i podporządkowanie? Co jeszcze ważniejsze – dlaczego niemal całkowicie je zniszczyli, dlaczego wymordowali lub dopuścili, aby wymordowano ludzi, a miasta, świątynie i pałace niemal doszczętnie zburzono?

Przyjrzyjmy się więc postaciom zdobywców. Kim byli, jakimi kierowali się zasadami, co popychało ich do zuchwałych przedsięwzięć? Pamiętajmy, że podbój Mezoameryki stanowił rezultat prywatnych przedsięwzięć konkwistadorów. Za akcjami Hiszpanów i Portugalczyków nie kryły się ani kolonialne plany monarchów, ani misyjne ambicje Kościoła katolickiego. Te ostatnie pojawiły się dopiero w momencie, kiedy podbój obu Ameryk został praktycznie dokonany.

Wróćmy do relacji Cortéza. Jak zauważyliśmy, w swych *Listach o zdobyciu Meksyku* dawał niejednokrotnie wyraz szczeremu zachwytowi – tym samym konkwistador wyraźnie subiektywizował swoją relację. Jego zachowanie tłumaczy szok kulturowy, jakiego musiał doznać obcując ze światem, o którego istnieniu nie miał pojęcia żaden z Europejczyków. Właśnie dlatego Cortéz musiał oswoić zastaną w Meksyku rzeczywistość: nakładał znaną sobie, europejską siatkę pojęć, wartości i doświadczeń na zjawiska dotyczące się kultury Indian i państwa Montezumy. Siatka taka stanowiła dlań swoisty drogowskaz, punkt odniesienia, dzięki któremu był w stanie rzeczywistość Ameryki ocenić – a w konsekwencji podporządkować sobie. Umożliwiała ona również zrozumiałe dla królewskiego odbiorcy i jego otoczenia, a korzystne dla konkwistadora, naświetlenie sytuacji w Meksyku.

Zdobywcy nie dostrzegli, bo nie byli w stanie dostrzec, że wyrafinowanie kultury duchowej i artystycznej Indian, bogactwo mierzone przez nich ilością złota i szlachetnych kamieni, nie szły w parze z proporcjonalnym postępowaniem technicznym i organizacyjnym. Twórcy monumentalnej architektury, figuralnej rzeźby i precyzyjnego złotnictwa nie znali koła i nie posługiwali się narzędziami z żelaza i stali. Stosunkowo nieliczne wyroby z miedzi i brązu miały w tym kręgu jedynie kultowe lub estetyczne – a nie techniczne zastosowanie. Gdyby mierzyć kultury Azteków, Majów i Inków dzisiejszą, naukową miarą, to znajdowały się one na poziomie późnego neolitu lub epoki brązu. W zetknięciu ze zdeterminowanymi, dysponującymi znaczną przewagą techniczną konkwistadorami cywilizacja Indian rozsypała się, mimo liczebnej przewagi nad najeźdźcami.

Z pięćsetletniej dziś perspektywy wynik konfrontacji tak różnych cywilizacji wydaje się z góry przesądzony; wszakże zdobywcy Meksyku i Peru nie zdawali sobie sprawy z własnej przewagi. Siłę przeciwnika oceniali wedle jego liczebności, poziom kultury wedle ilości złota, srebra lub skali budowli – nie zaś szczebla cywilizacyjnego rozwoju. Tego ostatniego pojęcia nie znali. Świat ludzi był w ich oczach bytem jednorodnym – jako że danym od Boga w jednym akcie kreacji. Błyskawiczne zwycięstwa nad państwami Azteków i Inków były przedmiotem ich dumy. Dla obserwującej je Europę źródłem zdumienia, podziwu, rzadziej oburzenia z powodu niesłychanych gwałtów, jakich się konkwistadorzy dopuścili.

Nie koniec wszak na tym. Ambicje poznawcze Cortéza (a także zdobywców Peru: Pizarra i Diego de Almagro) w dużej mierze motywowane były świadomością potencjalnych korzyści, jakie przynosi obiektywna, profesjonalna wiedza o przeciwniku. Konkwistadorzy starali się jak najlepiej poznać polityczną i militarną organizację państw Montezumy i Inki, tak aby móc wykorzystać ich słabości. Dziś wiemy, że nie było to zbyt trudne, zważywszy napięcia i podskórne konflikty w organizacji obu imperiów, meksykańskiego i andyjskiego. Hiszpanie szybko też rozpoznali podstawy religii, wierzenia i przesady Indian i bezwzględnie wiedzę tę wykorzystali, uderzając w newralgiczne punkty systemu – osoby władców posiadających nie tylko autorytarną władzę, ale też – co szło w parze z taką władzą – otoczonych religijną czcią, uważanych za osoby boskie.

Lektura *Listów o zdobyciu Meksyku* Hérnana Cortéza nie pozwala przypuszczać, by ich autor czuł się jako człowiek kimś lepszym od Indian. Wielokrotnie pisał o mieszkańcach Meksyku jako o ludziach rozumnych i zdolnych. Umiał również docenić ich męstwo i determina-

cję na polu bitwy. Sprzymierzonych ze sobą Indian nazywał wprost przyjaciółmi. Wierzył lub przynajmniej deklarował wiarę w to, że po nawróceniu na chrześcijaństwo staną się jego braćmi. Trudno jednak nie zauważyć, że bez skrupułów wykorzystywał zarówno swoją techniczną przewagę, jak i naiwną wiarę w to, że konkwistadorzy są wysłannikami boga Quetzcoatl.

Wydaje się, że najbardziej charakterystycznym rysem osobowości Cortéza było jego wyrachowanie. Postrzeganie świata przez konkwistadora określała twarda kalkulacja. Widział i oceniał tylko te aspekty i dziedziny życia Indian, które miały znaczenie z czysto utylitarnej, a więc militarnej czy politycznej perspektywy. Pomimo zachwytu nad osiągnięciami Indian, twórcy tych osiągnięć byli mu w zupełności obojętni. Gdy nie musiał, nie był wobec nich brutalny; zdawał sobie sprawę, że taka strategia mogłaby w dłuższej perspektywie przynieść wyłącznie straty. W stanach wyższej konieczności zabijał jednak Indian bez pardonu, a ich miasta systematycznie niszczył, z czego następnie zdawał sumiennie relacje. Ostatecznie też przystał, jak stwierdza w listach, na niewolniczą pracę Indian na rzecz zdobywców, mając głównie na względzie interesy Karola V. Sam należał bowiem do szybko rosnącej w liczbę, tym samym agresywnej, ekspansywnej grupy społecznej – niezamożnej szlachty hiszpańskiej. Do czasu odkryć geograficznych *hidalgos* szukali środków do życia głównie w służbie królewskiej, tak wojskowej, jak i cywilnej; dopiero odkrycie Kolumba otworzyło przed nimi oszałamiające perspektywy podboju i bajkowych, jak się wydawało z początku, łupów.

Fakt zdobycia wielkich skarbów w Meksyku i Peru umocnił jeszcze panujące wśród kolonistów przekonanie, że eldorado (hiszp. pozłacany kraj), kraina złota, o której opowiadali Indianie nie tylko w rejonie Przesmyku Panamskiego, ale i na wschodnim wybrzeżu Ameryki Południowej, znalazła się w zasięgu ich działania. Według utrzymującej się do dziś tradycji, to hiszpański konkwistador Vasco Núñez Balboa (ok. 1475-1517), który w 1513 r. przekroczył Przesmyk Panamski i dostał się do brzegów Pacyfiku (nazwał go Morzem Południowym), pierwszy uzyskał dokładniejsze informacje o tajemniczym kraju. Mityczne królestwo stało się również celem poszukiwań podjętych przez Portugalczyków, którzy dzięki przypadkowemu odkryciu dzisiejszej Brazylii przez Pedro Alvareza Cabrala (ok. 1460 - ok. 1526) w 1500 r. stali się władcami tego kraju. Chimere eldorado zamierzała ścigać w 1535 r. wielka flota hiszpańska Pedro de Mendozy (ok. 1487-1537), a więc w chwili, gdy Peru znalazło się już w ręku Pizzara. Zdobycie państwa Inków, którego skarby szybko zostały rozgrabione, nie poło-

żyło kresu mitowi. Przeciwnie, podsycalo nadzieje na odkrycie „prawdziwego eldorado” przynajmniej przez sto następných lat. Kolejne wyprawy Hiszpanów ginęły w dżunglach Paragwaju i Boliwii. Tereny te rozpoznane zostały i opisane dopiero dzięki misjom jezuitów i utworzonym przez nich „redukcjom” na przełomie XVI i XVII w.

Mit eldorado pozostawił trwałą ślad w kulturze europejskiej. Do eldorado dotrzeć mieli Kandyd i jego służący Kakambo z powiastki filozoficznej Woltera *Kandyd* (1759); bezskutecznie natomiast poszukiwali go bohaterowie filmów Wernera Herzoga (właściwie Werner Stipetić, ur. 1942), wybitnego reżysera niemieckiego.

Dwie drogi do zbawienia

Nowożytné podboje Europejczyków nie ograniczyły się – jak wiadomo – do kontynentu amerykańskiego, ale pozostańmy jeszcze w krajach podbitych przez Hiszpanów. Zobaczmy, jak wykorzystali oni swoje zwycięstwo, a zwłaszcza jak odnieśli się do zasadniczego problemu duchowego swojej epoki – kwestii zbawienia duszy. „*Trzeba pamiętać, że nawet w uważanej za laicką epocę Oświecenia, świadomość europejska nadal była silnie związana z chrześcijaństwem. Widać to choćby na przykładzie dzieł Woltera*” (a później Chateaubrianda) „*w których pojęcia <Europa> i <chrześcijaństwo>*” używane są zamiennie. Jak pisał Leszek Kołakowski, konkwistadorzy „*byli okrutni, chciwi i bezlitośni, zapewne zarazem pobożni, szczerze przywiązani do swojej wiary i przekonani o swojej duchowej wyższości*”. Uzasadnieniem dla brutalnych podbojów była – jak wiadomo - misja nawracania Indian. Mniej znane są jednak ich dwojakie aspekty i skutki: praktyczne z jednej, teologiczne z drugiej strony. Misje chrześcijańskie, organizowane nie tylko w regionach mezoamerykańskim i andyjskim, lecz także w Chinach, Indiach, Japonii i Filipinach, na wyspach Polinezji i Oceanii, prowadziły do poznania lokalnych wierzeń, praktyk i obyczajów religijnych, a co za tym idzie języków i kultur. W znacznym stopniu przyczyniły się, identycznie jak sam proces podbojów, do radykalnej zmiany w sferze świadomości, a zwłaszcza do pogłębienia procesu europejskiej samoidentyfikacji.

Gorliwość ewangelizacyjna otrzymała w XVI wieku, stuleciu pierwszych podbojów, solidne podstawy prawne, przy czym w okresie wypraw do Ameryki Środkowej, istniała pewna sprzeczność pomiędzy prawem hiszpańskim (także podobnym doń prawem portugalskim) a dekretami papieskimi. Zgodnie z tym pierwszym, ludność świeżo odkrytych dla monarchii terytoriów winna nie tylko przyjąć zasady

Ewangelii, ale i uznać wraz z nimi zwierzchnictwo chrześcijańskiego władcy. Polegało to na odczytaniu tzw. *requerimento*, w obecności królewskiego notariusza. Oświadczenie to miało formę ultimatum; w razie niepodporządkowania się pogan – w naszym przypadku Indian – władzy Hiszpanów, można było przeprowadzić ich pacyfikację. Tymczasem przepisy kościelne nie przyznawały Indianom statusu ludzi – tym samym uniemożliwiały formalną ich ewangelizację. Dopiero 15 lat po podbojach Cortéza, 2 czerwca 1537 roku papież Paweł III ogłosił bulę, w której uznawał Indian za byty racjonalne, wolne i jako takie zdolne do przyjęcia chrześcijaństwa. Dokument niezwykle ważny, bo otwierający drogę do stopniowej rehabilitacji Indian w oczach Europejczyków.

Pięciotomowy zapis Bernala Diaz (ur. ok. 1490 r.) pt. *Pamiętnik żołnierza Korteza* (wyd. 1632) przynosi obraz społeczeństw Majów, Tolteków i Azteków różny pod wieloma względami od tego, jaki utrwalił Cortéz. Niezwykle utalentowani jako budowniczowie, artyści czy rolnicy, dzielni żołnierze, wyznają kult, który budzi najwyższą odrazę i sprzeciw Diaza. Poświęcanie ofiar bożkom i rytualny kanibalizm, obserwowany podczas niektórych uroczystości, kronikarz traktował jako zwykłe spożywanie mięsa ludzkiego dla zaspokojenia głodu: „*Jedli mięso ludzkie – donosił - jak my pożywamy wołowinę, i we wszystkich miejscowościach mieli domy, jakby klatki z grubych żerdzi, w których zamykali na utuczenie licznych Indian (...), aby następnie, gdy utyją, zjadać ich. Kiedy prowadzili wojny, jedna prowincja za drugą, wziętych do niewoli zabijali na ofiarę i zjadali*”.

Diaz piętnował – podobnie jak inni kronikarze – rozwiązłość seksualną Indian; wytykał im grzechy sodomii i kazirodztwa; przytaczał wreszcie krążącą po Mezoameryce plotkę, jakoby Indianie byli potomkami wygnanych z Europy Żydów. Wszystkie te półprawdy i konfabulacje miały służyć zdeprecjonowaniu podbitych ludów i raz na zawsze zamknąć im drogę do duchowej – jeśli nie prawnospołecznej – podmiotowości.

Indianie nawracali się chętnie i szybko; rozczarowani brakiem skutecznej opieki ze strony własnych bogów, oddawali się w opiekę białego boga, przybyłego zza oceanu. Nową wiarę znakomicie godzili z tradycyjnymi obrzędami i zachowaniami, zwłaszcza śpiewem i tańcem; dopiero walczący i surowy Kościół wieku XVII zaczął tępić te „*diabelskie praktyki*”.

Właśnie w XVII stuleciu stanęło przed Kościołem rzymskokatolickim (w pewnej mierze także luterańskim, który również wykazywał

ambicje misyjne) nowe wyzwanie, związane z zainteresowaniem Europejczyków krajami Azji: Indiami, Chinami, Japonią i Koreą.

Mimo atrakcyjności, jaką w dziedzinie gospodarczej miały dla Europejczyków wielkie monarchie Dalekiego Wschodu, kontakty z nimi utrudniał tradycyjny już w kulturach tych krajów izolacjonizm. Miał różnorakie przyczyny, inne w Chinach – Państwie Środka, które długo utrzymywały cywilizacyjną przewagę nad ościennymi ludami, inną z kolei w Japonii, aż do pojawienia się u jej wybrzeży Europejczyków otwartej na obce, głównie chińskie i koreańskie wpływy kulturowe. Zapoczątkowany w XVI w. izolacjonizm japoński wynikał z poczucia zagrożenia, jakie niesli przybysze z Europy i towarzyszące im wynalazki w dziedzinie techniki wojennej (broń palna).

Pewnym sukcesem mogli poszczycić się Francuzi pod koniec XVII w., kiedy ich oficjalna misja do Chin, złożona z jezuitów, została dopuszczona na dwór cesarski. Rząd zezwolił na to jezuitom licząc na wykorzystanie ich wiedzy z dziedziny astronomii i innych nauk ścisłych. Politykę przyjmowania europejskich uczonych i specjalistów kontynuowali Chińczycy w następnym stuleciu, ale w ślad za nią nie szło jednak otwarcie się na stosunki dyplomatyczne i handlowe. W dziedzinie stosunków zewnętrznych obowiązywała niezmiennie zasada ścisłego izolacjonizmu. Dwór cesarski uważał władców wszystkich pozostałych krajów za swych wasali. Trzymał się starochińskich koncepcji, według których cesarz – Syn Nieba – panuje nad narodami wszechświata, Chiny stanowią środek świata, zaś pozostałe narody są barbarzyńskie.

Chińskie misje nauczyły Europejczyków nie tylko pokory wobec cywilizacji, która sama siebie uważała za wyższą od wszystkich innych. Zrodziły także nadzieję, że chrześcijanie nie są na świecie osamotnieni, że gdzieś – w odległym Państwie Środka – ludzie wykształceni, mandaryni, wyznają religię, która stanowi być może odbicie jakiejś dawnej, wspólnej wszystkim religii. Nadzieje, powiedzmy od razu, bezpodstawne, ale doświadczenia wyniesione z azjatyckich, nie tylko chińskich misji, pozostawiły trwałe ślady w europejskiej mentalności. Raporty nadsyłane przez uczonych jezuitów brzmiały początkowo zachęcająco: „*Konfucjusz, który ukształtował duszę swojego narodu, głosił doktrynę, w której wszędzie wyczuwało się boską inspirację. Uważał on, że ludzka natura wyszła z niebios całkowicie czysta i doskonała, że uległa później skażeniu, i że należy jej przywrócić pierwotne piękno*”. Jak zauważa Paul Hazard, za którym referuję tę sprawę, w oczach jezuickich misjonarzy filozof urodzony ok. 478 r. przed Chrystusem, jawił się niemal jako „*święty Piotr avant la lettre*,”

chiński święty Paweł. Zbierając zniwo swych misji, wydali jezuita w 1697 r. dzieło zatytułowane *Confucius, Sinarum Philosophus* (*Konfucjusz, filozof Chińczyków*), książkę która – jak ocenia Hazrad – „dotyczyła nie tyle faktów, co raczej interpretacji faktów”. Przeznaczona była dla młodych misjonarzy: „*rybaków dusz ludzkich, którzy wiedząc, jakie analogie można znaleźć między konfucjanizmem a chrześcijaństwem, będą umieli lepiej chwycić dusze w swoje sieci*”.

Postępy chińskich misji obserwował z nadzieją również luteranin, Gottfried Wilhelm Leibniz (1646-1717), który od dawna marzył o zjednoczeniu wszystkich chrześcijan. Trzeba nawrócić Chiny – dowodził – tak jak robią to jezuita: „*nie przez dowodzenie Chińczykom, że tkwią w błędzie, lecz przez wydobywanie analogii między ich i naszą religią, przez podkreślanie substancjalnej jedności umysłu ludzkiego...*”. Rzeczywistość zawiodła jednak niemieckiego filozofa. Konkurencyjne wobec jezuitów zakony zarzucały im pobłażliwość, stronniczość, skłonność do przystosowania się. Jezuita godzą się w Chinach na cześć oddawaną idolom, nie udzielają ostatniego namaszczenia, zaniedbują nawet obrzęd chrztu! – oskarżali. Rzym, w którym jezuitom nigdy nie zabrakło przeciwników, zdecydował się wysłać do Chin legata dla gruntownego zbadania sprawy, ale strażniczka katolickiej ortodoksji, paryska Sorbona już wydała wyrok potępiający ojców Le Comte i Le Gobien. Niewiele przy tym wiedziano w Europie o paragwajskim eksperymencie jezuitów, o tzw. republice Guaranów w amerykańskiej dżungli, w której w przeciągu dwóch stuleci znalazło schronienie, pracę i godne życie ok. 150 tys. Indian.

Jezuita misjonarze w Chinach zdobyli za to dwuznaczną, ale wielką sławę wśród libertynów. Vossius (Gerhard Johannes Voss) pisał, że dzięki nim wiemy, że Chińczycy są ateistami, ale nie jest to ateizm negatywny, jak u dzikich w Ameryce, ale ateizm pozytywny, rozmyślnie obrany, nie umniejszający w niczym ich mądrości i cnoty. Są na swój sposób nabożni, a ich mądrość zbliżona jest do mądrości Spinozy! Konfucjanizm, filozofia Spinozy – czyż nie wskazywały ludziom zupełnie nowej drogi do zbawienia, zbawienia za życia, które niosą mądrość i wiedza?

Marzenie o raj. Nowi Achajowie

W naszych rozważaniach o konfrontacjach kultur i cywilizacji oraz stosunku Europejczyków do, nazwijmy to, „reszty świata” nie może zabraknąć postawy, która święcić miała triumfy w XVIII, „oświeconym” wieku oraz przez znaczną część XIX stulecia – dopóki kształtu-

jąca się od czasów Josepha Arthura de Gobineau (1816-1882) doktryna rasizmu nie przekreśliła ważności zarysowanych tu postaw. Znana dziś jako mit „dobrego dzikusa”, kształtowała się od czasu pierwszej wyprawy Kolumba w 1492 r., który nigdy nie stracił nadziei, że odkrył nie tylko nową, krótszą drogę do Indii, ale i prawdziwy raj ziemski, miejsce, w którym ludzie cieszą się pierwotną niewinnością. Zdobywcy szybko zamienili ten raj w piekło; tym bardziej więc mit „raju odzyskanego” nabrał żywotności. Przekonanie o pierwotnej czystości rasy ludzkiej nie opuszczało filozofów rangi Johna Locke’a (1632-1704), ale w XVIII stuleciu nikt nie nadał mu takiego znaczenia i popularności, jak Jan Jakub Rousseau (1712-1778).

Mit „dobrego dzikusa” nabrał też cielesności. Stało się tak dzięki wyprawom zorganizowanym po Pacyfiku przez dwóch największych żeglarzy XVIII wieku: Anglika Jamesa Cooka (1728-1779) i jego francuskiego konkurenta, Louisa Antoine’a de Bougainville’a (1729-1811). Trzy wyprawy Cooka dookoła świata oraz ekspedycja de Bougainville’a miały – po raz pierwszy – podwójny charakter: eksploracji nieznanych dotąd mórz i lądów przez Anglię i Francję oraz w równym stopniu naukowego ich poznania i opisu. Drugiemu celowi służyła obecność na statkach wielu uczonych: biologów, astronomów, kartografów i jakbyśmy dziś powiedzieli – etnografów.

W czasie pierwszej podróży Cooka, odbytej w latach 1768-1769 na żaglowcu „Endeavour”, funkcję naukowego opiekuna odkrytych okazów minerałów, flory i fauny pełnił Joseph Banks (1743-1820), uczyony-amator jakich wielu było w jego epoce. Uczestnictwo w wyprawie zapewnił sobie Banks niebagatelną sumą 10 tys. funtów szterlingów, wpłaconych na jej koszty. Banks, pięknoduch i bywalec salonów, prawdziwy „obywatel świata”, ze swej roli wywiązał się nadspodziewanie dobrze. Pozostawił szczegółowy opis i setki rysunków prezentujących, jeśli idzie o Polinezję, obraz prawdziwie rajskiej szczęśliwości.

Banks, pełen podziwu dla urody polinezyjskich kobiet, korzystał też w pełni ze wszystkich uciech, jakie wyspy mu zaoferowały. Nie tylko zresztą on: kapitan Cook miał ogromny problem z utrzymaniem dyscypliny wśród swoich marynarzy, oszołomionych wręcz zainteresowaniem, jakie okazywały im miejscowe kobiety. Joseph Banks przez długie lata po zakończeniu pierwszej wyprawy był obiektem powszechnego zainteresowania w Anglii, a jego ustne i pisemne relacje z podróży po Pacyfiku rozpałały wyobraźnię budowniczych brytyjskiego imperium. Na długie też lata zaważyły na recepcji oceanicznych kultur.

Innymi jeszcze kryteriami kierował się Johann Reinhold Forster (1729-1798), osiadły w Gdańsku niemiecki geograf i podróżnik szkockiego pochodzenia. Wraz ze swym synem Georgiem (1754-1794), wybitnym przyrodnikiem i pisarzem (przez pewien czas profesorem Szkoły Głównej Litewskiej w Wilnie), wziął udział w drugiej podróży Jamesa Cooka dookoła świata (1772-1775). Pozostawił po sobie szczegółowy dziennik podróży, który opracował i oddał do druku jego syn.

W mieszkańcach wyspy Tahiti, inaczej niż jego uczony, ale i frywolny poprzednik z pierwszej wyprawy Cooka, Joseph Banks, upatrywał Forster nie tylko pierwotną swobodę oraz piękne ciała, wodzące Europejczyków na pokuszenie. Skłonny był zwłaszcza widzieć w nich Greków epoki Homera: walecznych Achajów oblegających Troję oraz podejmujących ryzykowne wyprawy żeglarskie wzdłuż brzegów Morza Śródziemnego: *„Wydaje się, że ich (Tahitańczyków) okręty wojenne są tego samego rodzaju, co mille carinae (okręty wojenne), które wyruszyły walczyć ze słynnym miastem Troją. Być może również charakter ich wojen pozostaje w pełni ten sam, aczkolwiek Grecy byli lepiej uzbrojeni, jeśli idzie o wykorzystanie żelaza i brązu, które w tego rodzaju wojnach w wielkim stopniu decydowały o zwycięstwie (...) Ich żegluga od wyspy do wyspy Archipelagu (tj. Morza Egejskiego) była bardzo podobna do ekspedycji podejmowanych przez tych ludzi (Tahitańczyków) pomiędzy wyspami Morza Południowego (tj. Pacyfiku); potrafią oni, tak jak starożytni Grecy, prowadzić nawigację nocą, kierując się gwiazdami, o których wiedzą wystarczająco wiele i którym nadali własne imiona. Ich dowódcy, jak greccy herosi, idą na wojnę i zdobywają sławę dzięki bohaterstwu czynom”*.

Zatrzymajmy się, na końcu tych rozważań, przy błyskotliwym porównaniu budowanym przez niemieckiego geografa. 250 lat po tym, jak Hérnan Cortéz opiewał potęgę imperium równego hiszpańskiemu, nie zdając sobie sprawy, że wyprawa do Mezoameryki stanowiła w gruncie rzeczy podróż w przeszłość, w pobliże epoki brązu, Forster pojmował doskonale istotę międzykulturowego kontaktu. Zauważył, że tubylcom brakuje broni nie tylko z żelaza, ale i brązu – i z tego powodu, a także z racji niezwyklej zręczności w budowaniu łodzi i śmiałości w sztuce nawigowania przypominają Greków doby Homera i wypraw na Troję. To porównanie, wraz z metaforą „Argonauci Zachodniego Pacyfiku” spopularyzowaną dzięki pracy *Argonauts of the Western Pacific* (1922) Bronisława Malinowskiego (1884-1942), utrzymało się do dnia dzisiejszego na określenie żeglarskich dokonań ludów Polinezji.

Konstatacja, jaką poczynił Johann Reinhold Forster, świadomość, iż odkrywając nowe lądy Europejczycy konfrontują się sami ze sobą –

tyle że sprzed kilku tysięcy lat, była udziałem także dowódcy tej wyprawy. James Cook, surowy w ocenie ludzi i ich obyczajów, wymagający wiele od siebie i innych wykazywał niezwykłą pobłażliwość dla obyczajów Tahitańczyków i innych mieszkańców oceanicznych wysp. Martwił się, że żądni bogactwa i cielesnych uciech Brytyjczycy zdemoralizują niewinnych jak dzieci wyspiarzy. Ubolewał z powodu chorób, zaciągniętych na wyspy przez marynarzy: jego własnych i Francuza Bougainville'a. Podobnie rozumował ten ostatni; Bougainville zasłynął nie tylko z podróży odbytej po Pacyfiku w latach 1766-1769, ale i znakomitej relacji zatytułowanej *Podróż dookoła świata* (wyd. 1771-72, przekład polski 1962), dzięki której poznano w Europie Polinezję.

Zrozumienie fenomenu Wysp Południowych i dobre chęci odkrywców nie na wiele się zdały. Nawet postawa niezłomnego w swych zasadach Jamesa Cooka nie była wolna od sprzeczności. Tolerancyjny – nawet jeśli chodziło o zachowania Tahitańczyków, które traktował jako rozwiązanie – nie był w stanie zaakceptować licznych kradzieży broni, narzędzi metalowych, a nawet gwoździ przez tubylców. Ci, nie tylko że spragnieni byli deficytowych na Wyspach metali, ale żyjąc w plemiennej wspólnotcie nie znali pojęcia własności, stanowiącej prawdziwą świętość dla Brytyjczyków. Cook nie dostrzegł też i nie zrozumiał, że za objawami niezwyklej gościnności, z jaką Tahitańczycy przyjmowali żeglarzy, stoi poważny wysiłek ekonomiczny, i że po kilku miesiącach pobytu jego okrętów na archipelagu został on w znacznym stopniu ogołocony z żywności. Nagły powrót na Tahiti w lutym 1779 r. okazał się poważnym błędem Cooka. Przyplącili go życiem on sam i kilku jego ludzi. Bezpośrednią przyczyną konfliktu, który miał doprowadzić do regularnej bitwy z tubylcami, była kradzież łodzi przez Tahitańczyków i podjęta przez Anglików próba zorganizowania karnej ekspedycji. Ciało zabitego grotami dzid kapitana zostało przez tubylców zabrane, następnie rytualnie – jak się domyślamy – podzielone na części, a niektóre z nich zostały spożyte na znak czci i szacunku dla wojownika, reszta zaś pochowana w niedostępnym miejscu. Tylko rękę i goleń odesłali Tahitańczycy na brytyjski okręt. Znamienne, że ten makabryczny upominek nie wywołał ani oburzenia, ani strachu wśród załogi. Dominował raczej żal, a nawet rozpacz po utracie człowieka, który posiadał tu najwyższy autorytet. Na „dzikich” oburzano się dopiero w Europie, po ukazaniu się relacji z ostatniej podróży Cooka. Weterani oceanicznych wypraw domyślali się, że za działaniem tubylców nie stała ani krwiożerczość, ani tym bardziej kanibalizm.

Czy to w dziewiczym – wydawałoby się – Nowym Świecie, w Ameryce, czy w starożytnych cywilizacjach Środkowego i Dalekiego

Wschodu, czy wreszcie wśród niewinnych i szczęśliwych – do przybycia białych – mieszkańców Polinezji, wszędzie gdzie stanęła stopa Europejczyka, przeglądał się on w zwierciadle, które odbijało przede wszystkim jego własną twarz. Co znajduje się „po drugiej stronie lustra”, jaki jest naprawdę świat, do którego przybył, dowiedzieć się miał z wielkim opóźnieniem, zazwyczaj wtedy, gdy świat ten – jak kultury prekolumbijskie – przestał już istnieć. Konfrontacja z „resztą świata” dała więc Europie i wiele, i niewiele zarazem; dała rozumienie siebie samej.

Źródła i opracowania cytowane w tekście:

- H.Carter, *Sir Joseph Banks, 1743-1820*, London 1988
- B.Diaz del Castillo, *Pamiętnik żołnierza Korteza czyli prawdziwa historia podboju Nowej Hiszpanii*, Warszawa 1962
- T.Cegielski, M.Kurkowska, *Człowiek i historia. Czasy nowożytne do 1815 r.* Warszawa 2003
- H.Cortéz, *Listy Hérnana Cortéza do króla i cesarza Karola V o wydarzeniach w Meksyku w latach 1519-1521*, Gdańsk 1997
- J.R.Forster, *The Resolution Journal of Johann Reinhold Forster 1772-75*, vol. III, London 1982
- P.Hazard, *Kryzys świadomości europejskiej 1680-1715*, Warszawa 1974
- T.Horwitz, *Błękitne przestrzenie. Wyprawa śladami kapitana Cooka*, Warszawa 2005
- R.Hough, *Captain James Cook*, New York 1995
- M.Mańkowski, *W oczach zdobywców. Obraz cywilizacji prekolumbijskiej Ameryki Środkowej i jej społeczeństw w relacjach konkwistadorów*, maszynopis, Warszawa 2005
- F.Pizarro, *Relacja o odkryciu i podboju królestwa Peru*, Gdańsk 1995

Abstract

Conquistadors, missionaries, cosmopolitans. Modern Europeans and „The Rest of the World”

The Inauguration Lecture: the 29th September 2005,
in the Old University Library

In his famous letters addressed to Carol V, the Spanish king and the Roman-German emperor, a Spanish *hidalgo*, and a head of an expedition to Mexico, Hernán Cortéz (1485-1547) describes the conquered country as the great and flourishing empire, sensible organized, well governed, and wealthy; the people as „rational and of a good organization”. „However they are barbarians, and far-away to the knowledge of the God, and to other intelligent nations – he adds – they have reached astoundingly high level in every area”. This opinion presented by the man whose name engraved on a posterity memory as the perpetrator of the extermination of Mexico Indians, seems to be worthy of notice. There are more historical problems and real riddles concerned the conquest of Mexico by Cortéz (or the conquest of Peru by Pizarro): if the people of Mezoamerica had had reached so high civilization level, why their conquest was so rapid, and the future extermination so easy? And, even more important, how Cortéz, Pizarro and other conquistadors justified crimes they did or they permit to be done?

The lecture presents different attitudes of European mind, shortly described by the Author as *conquistadors, missionaries, cosmopolitans*; it shows a future evolution of this attitudes, also. The 18th century explorers as James Cook (1728-1779), Louis Antoine de Bougainvillee (1729-1811) or a scientist Johann Reinhold Forster (1729-1798) probably where the first Europeans who understood that their travelling to Pacific Islands, and their relations to local people are in the reality a kind of „journeys to the Past”, for example to long-ago times of Trojan wars. Brilliantly comparing people of Tahiti with ancient Greeks, Forster showed not only his understanding to the relativity of historical processes, but also his consciousness of responsibility for a civilization which was discovered. Also captain James Cook, despite all the mistakes he made in his relations with Tahitians, was trying to save aborigines from a lethal influence of European culture, illnesses etc. He did not succeed in accomplishing his purpose, and his death in 1779 was a result of his conflicts with aborigene people.